

**JOSEPH
CONRAD**

AMY FOSTER

Joseph Conrad

Amy Foster

«Public Domain»

Conrad J.

Amy Foster / J. Conrad — «Public Domain»,

Tytułowa Amy Foster to prosta kobieta żyjąca na angielskiej prowincji. Narrator, który jest gościem jednego z wiejskich lekarzy, poznaje opowieść o życiu Amy. Jej postać to jednak tylko pretekst do opowiedzenia historii pewnego mężczyzny, przybysza, tułacza, późniejszego męża kobiety. To rozbitek z hamburskiego statku wiozącego środkowoeuropejskich emigrantów. Opowiadanie ukazuje trudne relacje między „tutejszymi” a „obcym”, zarówno problemy z dostosowaniem się, tęsknotą, jak i próby porozumienia i kulturowej asymilacji. Joseph Conrad, właściwie Józef Korzeniowski, to pisarz pochodzenia polskiego tworzący w języku angielskim. W swojej twórczości zajmował się problemami psychologiczno-moralnymi, podejmował tematykę kolonializmu i relacji swój-obcy. Odbywał liczne podróże, czego echa brzmiały w jego twórczości, której bohaterami są przedstawiciele różnych kultur i narodowości.

© Conrad J.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

10

Joseph Conrad

Amy Foster

Kennedy jest wiejskim doktorem i mieszka w Colebrook, na wybrzeżu Eastbay. Pagórek wznoszący się stromo za czerwonymi dachami miasteczka wygina dziwacznie High Street i przyciska ją do tamy, która broni mieszkańców przed morzem. Za tamą wije się na całe mile rozległym i kształtnym zakolem jałowy brzeg pokryty grubym żwirem, ze wsią Brenzett – wyglądającą po drugiej stronie wody jak ciemna grupa drzew z dzwonnica w pośrodku; dalej zaś prostopadła kolumna morskiej latarni, nie większa z daleka od ołówka, wskazuje, gdzie ląd się kończy. Za Brenzett ciągnie się płaska nizina, lecz zatoka jest doskonale osłonięta od fal i zdarza się niekiedy, że jakiś duży statek, oczekujący na pomyślny wiatr lub też zagnany przez niepogodę, zarzuca kotwicę półtorej mili na północ – licząc odległość od tylnych drzwi gospody „Pod Okrętem” w Brenzett. Rozwalony wiatrak w pobliżu, wznoszący poharatane skrzydła z pagórka nie wyższego od kupy śmieci, i wieża Martello przykucnięta u skraju wody, pół mili na południe od domków straży nadbrzeżnej, dobrze są znane szyprom małych statków. Są to oficjalne wodne znaki, rozgraniczające obszar dobrego gruntu kotwicznego, który to grunt przedstawiany jest na mapach admiralicji jako nieregularny owal z kropek, z kilku rozsianymi po nim szóstkami, malutką kotwiczka na środku i napisem: „Muł i muszle”, biegnącym poprzez owe kropki.

Szczyt płaskowzgórza góruje nad czworokątną wieżą kościoła w Colebrook. Zbocze jest zielone i przewiązane białą drogą. Idąc tędy w górę, wchodzi się do szerokiej i płytkiej doliny, rozległego zielonego jaru z pastwiskami i płotami, które stapiają się w zamykającej widok perspektywie o tonie fioletowym i falujących liniach.

Ta dolina dochodzi do Brenzett i Colebrook, a wznosi się aż do Darnford, targowego miasteczka oddalonego o mil czternaście. Jest to teren pracy mego przyjaciela Kennedy'ego, który zaczął praktykować jako doktor w marynarce, a potem był towarzyszem pewnego znakomitego podróżnika, w czasach kiedy istniały jeszcze kontynenty o niezbadanym wnętrzu. Referaty doktora o faunie i florze zdobyły mu sławę w kołach naukowych. A teraz zajął się praktyką wiejską z własnego wyboru. Potężna przenikliwość jego ducha, działająca jak żrący płyn, zniszczyła snadź¹ jego ambicję. Inteligencja Kennedy'ego należy do rzędu naukowych; badawcza z nawyku, odznacza się tą nienasyconą ciekawością, która wierzy, że każda tajemnica kryje w sobie cząstkę ogólnej prawdy.

Kennedy zaprosił mnie kiedyś do siebie przed wielu laty, po moim powrocie z zagranicy. Przyjechałem bardzo chętnie, a że nie mógł zaniedbywać pacjentów dla dotrzymania mi towarzystwa, zabierał mnie na swoje popołudniowe objazdy, które wynosiły czasem około trzydziestu mil. Czekałem na niego na drodze; koń sięgał po liściaste gałęzie, a ja tkwiłem na wysokim siedzeniu dwukółki i przez na wpół otwarte drzwi jakiejś chaty słyszałem śmiech Kennedy'ego, głośny, serdeczny, który by pasował do mężczyzny dwa razy większego. Kennedy miał żywe obejście, ogorzałą twarz i siwe, niezmiernie bystre oczy; miał również talent wyciągania ludzi na swobodną rozmowę i niewyczerpaną cierpliwość w słuchaniu ich opowiadań.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżaliśmy kłusem z dużej wsi, kierując się ku cienistej drodze, zobaczyłem po lewej stronie niską, czarną chatę, z malutkimi szybkami w oknach, pnącymi roślinami na tylnej ścianie, gontowym dachem i różami, które wiły się z rzadka po zniszczonej kracie wystawki. Kennedy ściągnął lejce i koń przeszedł w stępa². W pełnym słońcu stała kobieta i zarzucała ociekającą wodą derkę na sznur przeciągnięty między dwiema starymi jabłoniemi. A gdy kurtyzowany³ kasztan

¹ *snadź* (daw.) – widocznie. [przypis edytorski]

² *stępa* – najwolniejszy chód konia. [przypis edytorski]

³ *kurtyzowany koń* – koń po *kurtyzowaniu*, tj. zabiegu operacyjnym mającym na celu skrócenie ogona blisko jego nasady. [przypis edytorski]

o długiej szyi, wyrывая się naprzód, szarpnął lewą ręką doktora obciągniętą w grubą, skórzaną rękawiczkę, ten zawołał poprzez płot do kobiety: „Jakże tam twoje dziecko, Amy?”.

Miałem czas przypatrzeć się jej tępej twarzy – czerwonej, ale jakby nie od naturalnego rumieńca, tylko od tęgiego policzka; zapamiętałem również jej krępą postać i rzadkie, ciemnobrunatne włosy, ściągnięte w ciasny węzeł z tyłu głowy. Wyglądała zupełnie młodo. Głos jej brzmiał cicho i nieśmiało; brak jej było tchu.

– Chłopiec zdrowy, dziękuję panu.

Pojechaliśmy dalej kłusem.

– Pan pytał pewnie o jakiegoś małego pacjenta? – rzekłem, a doktor, zacinając z roztargnieniem kasztana, mruknął:

– Jej mąż był dawniej moim pacjentem.

– Robi wrażenie istoty bardzo ograniczonej – zauważyłem od niechcenia.

– Otóż to właśnie – rzekł Kennedy – jest bardzo bierna. Dość spojrzeć na te czerwone ręce, wiszące u końca krótkich ramion, na nieruchawe, wypukłe piwne oczy, aby zdać sobie sprawę z inercji jej ducha – inercji, która powinna była zabezpieczyć ją na zawsze przed wszelkimi niespodziankami wyobraźni. A jednak któż z nas jest bezpieczny? W każdym razie Amy, taka, jak ją pan widzi, miała dość wyobraźni, aby się zakochać. Jest córką niejakiego Izaaka Fostera, drobnego farmera, który zjechał na owczarza; początek jego nieszczęść datuje się od chwili, gdy uciekł z kucharką swego ojca, zamożnego hodowcy bydła, wdowca skłonnego do apopleksji; w pasji wykreślił z testamentu imię syna i odgrażał się, że go zabije. Ale ta stara historia, dość skandaliczna, by służyć za temat do greckiej tragedii, wyrosła z podobieństwa ich charakterów. Są inne tragedie, mniej skandaliczne a subtelniejsze i bardziej przejmujące, które powstają wskutek niedających się pogodzić rozdźwięków i trwogi przed Niezrozumiałym, co wisi nad głowami nas wszystkich – nas wszystkich...

Zmęczony kasztan przeszedł w stępa, a brzeg tarczy słonecznej, całej czerwonej na niebie bez skazy, zetknął się poufale z gładkim szczytem zoranego pagórka blisko drogi, podobnie jak stykał się w moich oczach niezliczoną ilość razy z odległym morskim horyzontem. Jednostajna brunatność zbronowanego pola żarzyła się różową barwą, jak gdyby sproszkowane grudy wypocły w drobnutkich perełkach krwi znój nieprzeliczonych oraczy. Od skraju zagajnika wóz zaprzężony w dwa konie toczył się z wolna wzdłuż grzbietu wzgórze. Wzniesiony na widnokregu ponad naszymi głowami, rysował się na tle czerwonego słońca triumfalnie wielki, ogromny, jak rydwan olbrzymów, ciągniony przez dwa stąpające z wolna rumaki o fantastycznych rozmiarach. A niezdarne postać człowieka kroczącego ciężko przed lejcowym koniem, odcinała się na tle Nieskończoności niby jakiś olbrzymi dziwotwór. Koniec bicia woźnicy drżał wysoko w błękicie. Kennedy się rozgadał:

– Amy jest najstarszą z licznej rodziny. Kiedy miała piętnaście lat, oddali ją na służbę do New Barns Farm. Leczyłem panią Smith, żonę dzierżawcy, i tam zobaczyłem Amy po raz pierwszy. Pani Smith, wykrygowana osoba o ostrym nosie, kazała jej zawsze kłaść czarną suknię po południu. Nie wiem, z jakiego powodu w ogóle tę dziewczynę zauważyłem. Są twarze, które przyciągają uwagę przez dziwny brak czegoś określonego w wyglądzie; tak samo idąc wśród mgły jesteśmy czasem pociągnięci przez jakiś niewyraźny kształt, który może się okazać czymś równie mało ciekawym i osobliwym jak słup przydrożny. Jedynym znakiem szczególnym, jaki w niej zauważyłem, było lekkie zacinięcie się, coś w rodzaju jąkania, które mijało po wymówieniu pierwszego słowa. Gdy się kto ostro do niej zwrócił, gotowa była stracić głowę natychmiast; ale serce miała złote. Nie słyszano nigdy, aby wyrażała się nieprzyjaźnie o jakiegokolwiek ludzkiej istocie, a odnosiła się z tkliwością do wszelkich żyjących stworzeń. Przywiązała się do Smithowej, do Smitha, do ich psów, kotów, kanarków; a co się tyczy szarej papugi Smithowej, szczególne właściwości zamorskiego ptaka wywierały na nią prawdziwy urok. Lecz kiedy papuga napadnięta przez kota skrzeczała o pomoc ludzkim głosem, Amy wypadła na podwórze z zatkanymi uszami i nie zapobiegła zbrodni. Dla Smithowej stanowiło to jeszcze jeden dowód głupoty Amy; z drugiej jednak strony brak wdzięku służącej był wielkim plusem wobec znanej frywolności Smitha. Krótkowzroczne oczy Amy napełniały się łzami litości na

widok biednej myszy schwytej w pułapkę, a raz kilku chłopców widziało dziewczynę, jak klęczała w mokrej trawie, opiekując się ropuchą w opałach. Jeśli to prawda, że – jak powiedział pewien Niemiec – nie ma myśli bez fosforu, jeszcze głębszą prawdą jest, że nie ma dobroci bez pewnej dozy wyobraźni. Amy miała trochę wyobraźni. Miała jej nawet więcej, niż trzeba, aby zrozumieć cierpienie i przejmować się litością. Zakochała się wśród warunków, które nie zostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości; albowiem trzeba wyobraźni, aby w ogóle sobie stworzyć pojęcie piękna, a tym bardziej, aby odkryć swój ideał w niezwyklej postaci.

Jak w niej powstała ta możliwość i co sprzyjało jej rozwojowi, jest niezgłębioną tajemnicą. Amy urodziła się w tej wsi i nigdy nie wyruszała z niej dalej niż do Colebrook lub może do Darnford. Służyła przez cztery lata u Smithów. New Barns jest osamotnioną fermą położoną o milę od drogi i Amy dzień w dzień zadowalała się widokiem tych samych pól, dolinek, wyniosłości, tych samych drzew i żywopłotów, a także i twarzy czterech fernali pracujących w fermie, zawsze tych samych – dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie zdradziła się nigdy z chęcią rozmowy i jak mi się zdawało – nie umiała się uśmiechać. Czasami w piękne niedzielne popołudnie wkładała najlepszą suknię, grube trzewiki, duży popielaty kapelusz ozdobiony czarnym piórem (widziałem ją w tym stroju), chwyciła śmiesznie długą i cienką parasolkę i minawszy dwie kładki, wędrowała przez trzy pola oraz dwieście jardów drogi – nigdy dalej. Stała tam chata Fosterów. Amy pomagała matce poić herbatą młodszą dzieciarnię, po czym myła naczynia, całowała dzieci i wracała na fermę. To było wszystko. Cały jej wypoczynek, cała rozmaitość, całe wytchnienie. Zdawała się nigdy niczego więcej nie pragnąć. A potem zakochała się. Zakochała się skrycie, uporczywie – może bezwolnie. Przyszło to powoli, ale kiedy już nią oświadczyło, działało jak potężny czar; była to miłość, jak ją rozumieci starożytni – władczy, nieuchronny poryw – opętanie! Tak, ona miała w sobie tę zdolność poddania się czarowi czyjejś twarzy, czyjejś obecności, nieodparcie, jakby była pogańską czcicielką kształtu pod radosnym niebem – i w końcu ocknęła się z tego tajemniczego zapamiętania, z tego czaru, z tych uniesień – wśród trwogi podobnej do nieopozytalnego strachu bydłęcia...

Pod słońcem wiszącym nisko u swego zachodniego kresu przestrzeń łąk, ujętych z obu stron w szkarpy wznoszącego się gruntu, oblokła się we wspaniałość i mrok. Uczucie dojmującego smutku, niby natchnione przez jakąś uroczystą melodię, płynęło z ciszy pól. Ludzie, których spotykaliśmy, przechodzili koło nas wolnym krokiem, bez uśmiechu, ze spuszczonymi oczami, jakby melancholia przemęczonej ziemi obciążała ich nogi, pochyliła ramiona, wbiła w ziemię oczy.

– Tak – rzekł doktor w odpowiedzi na moją uwagę – można by pomyśleć, że ziemia jest przeklęta, bo ze wszystkich jej dzieci te, które najściślej z nią współżyją, wyglądają nieokrzesanie i mają chód tak ołowiany, jakby ich serca były spętane łańcuchem. Ale tu, na tej samej drodze można było zobaczyć pośród niezdarnych ludzi człowieka zwinnego, giętkiego, o długich członkach, prostego jak sosna, rzekłbyś – rwącego się w górę, jak gdyby serce w jego piersi było lekkie. Może działa się to tylko siłą kontrastu, ale gdy człowiek ten mijał kogoś z tutejszych wieśniaków, stopy jego zdawały się nie dotykać kurzu na drodze. Skakał przez kładki, przemierzał zbocza długim, elastycznym krokiem, który można było rozpoznać na wielką odległość, a oczy miał czarne i świejące. Różnił się tak dalece od ludzi z tych okolic, że jego swobodne ruchy, łagodne, trochę lekliwe oczy, oliwkowa cera i obejście pełne wdzięku – cała jego istota przywołała mi na myśl jakiś leśny stwór. Przybył stamtąd.

Doktor wskazał batem; ze szczytu zbocza ujrzelśmy ponad rozchwianymi wierzchołkami drzew w parku ciągnącym się obok drogi gładkie morze daleko pod nami, jak posadzkę olbrzymiego gmachu wykładaną pasami ciemnych zmarszczek i spokojnymi smugami blasku, które zlewały się w taśmę szklistej wody u stóp nieba. Leciutki cień dymu z niewidzialnego parowca rozplątywał się w wielkiej przejrzystości widnokregu jak mgła oddechu na zwierciadle; a bliżej lądu białe żagle nadbrzeżnego statku zdawały się wyplątywać powoli spod gałęzi i wreszcie oddzieliły się od drzew.

– Rozbił się z okrętem w tej zatoce? – rzekłem.

– Tak; był to rozbitek. Biedny emigrant ze środkowej Europy jadący do Ameryki i wyrzucony przez morze na brzeg podczas burzy. Dla niego, który nic o świecie nie wiedział, Anglia była jak kraj jeszcze nieodkryty. Dopiero po pewnym czasie nauczył się jego nazwy; a jak mi się zdaje, mógł się spodziewać, że znajdzie tu dzikie bestie lub dzikich ludzi. Pełznąć w ciemności po morskiej tamie, stoczył się na drugą jej stronę i wleciał do stawu, gdzie się znów jakimś cudem nie utopił. Lecz walczył instynktownie o życie jak zwierzę schwyte w sieci i to ślepe szamotanie wyrzuciło go na brzeg. Był widać z twardszej gliny, niż się zdawało, jeśli wyżył mimo ciężkiego potłuczenia, nadludzkich wysiłków i trwogi. Opowiadał mi później tą swoją łamaną angielszczyzną, dziwnie podobną do mowy małego dziecka, że oddawał się już Bogu w opiekę, myśląc, że jest na tamtym świecie. I doprawdy – dodawał – skądże miał wiedzieć?

Na czworakach walczył o drogę z deszczem i wichurą i doczołgał się wreszcie między owce zbite w kupę pod żywoplotem chroniącym je od wiatru. Rozbiegły się na wszystkie strony, becząc w ciemności, a on powitał z radością ten pierwszy znajomy głos, który posłyszał na brzegu. Musiała być wtedy jakaś druga nad ranem. Oto wszystko, co wiemy o jego wylądowaniu. Nie przybył on bynajmniej sam jeden. Tylko że jego odrażający towarzysze zaczęli wydostawać się na brzeg daleko później, już zadnia...

Doktor zebrał lejce i cmoknął; zjechaliśmy klusem ze wzgórza. Potem prawie natychmiast skrociliśmy pod ostrym kątem na ulicę High Street; dwukółka zaturkotała po kamieniach i byliśmy w domu.

Późnym wieczorem Kennedy otrząsnął się z chmurnego zamyślenia, w którym był pogrążony i powrócił do swojej opowieści. Pałac fajkę, chodził z końca w koniec po długim pokoju. Stojąca lampa skupiała całe światło na papierach leżących na biurku. Siedząc przy otwartym oknie, widziałem po bezwietrznym, upalnym dniu chłodną wspaniałość mglistego morza leżącego nieruchomo pod księżycem. Żaden szept, żaden plusk, żadne skrzyknięcie żwiru, kroki czy westchnienie nie dochodziły z dołu od ziemi, żaden znak życia, prócz woni pnącego jaśminu; a głos Kennedy'ego, który opowiadał za moimi plecami, przedostawał się przez szeroki otwór okienny i znikał w chłodnej, wspaniałej ciszy.

– Dawne relacje z katastrof okrętowych mówią nam o ogromie ludzkich cierpień. Zdarzało się często, że rozbitekowie ocaleli od utonięcia tylko po to, aby umrzeć z głodu na jakimś wybrzeżu; inni padali ofiarą gwałtownej śmierci lub niewoli, pędząc latami życie niepewne jutra wśród ludzi, dla których obcość ich była źródłem podejrzeń, niechęci lub trwogi. Czytaliśmy o tych rzeczach budzących wielką litość. Zaiste, ciężko jest człowiekowi, gdy staje się zagubionym, bezsilnym, niezrozumiałym cudzoziemcem o tajemniczym pochodzeniu, rzuconym w jakiś głuchy kąt ziemi. A jednak wśród poszukiwaczy przygód, co ulegali rozbiciu w przeróżnych stronach świata, nie ma chyba ani jednego, któremu przypadałby los tak prosty w swoim tragizmie jak człowiekowi, o którym mówię. Był to najniewinniejszy z miłośników przygód, wyrzucony przez morze w zakątku tej zatoki; widać ją z tego okna.

Ów człowiek nie wiedział, jak się nazywał jego okręt. Z czasem odkryliśmy, że nie wiedział, iż w ogóle okręty mają nazwy – „jak chrześcijanie”, a gdy pewnego dnia ujrzał ze szczytu Talford Hill morze rozpostarte przed sobą, zapatrzył się w dal, ogarnięty niezmiernym zdumieniem, jakby nigdy w życiu nie widział nic podobnego. I pewnie tak było. O ile mogłem wywnioskować, został zapędzony wraz z wielu innymi na pokład statku dla emigrantów przy ujściu Elby; zbyt był oszołomiony, aby zwrócić uwagę na otoczenie, zbyt przemęczony, aby spostrzec cośkolwiek, zbyt niespokojny, by go coś mogło obchodzić. Zagnano ich w dół, do międzypokładu i zamknięto tam od samego początku; znaleźli się w niskim drewnianym pomieszczeniu – opowiadał – z belkami na suficie jak w chatkach w jego kraju, ale schodziło się tam po drabinie. Izba ta była bardzo wielka, bardzo zimna, wilgotna i ciemna, z komórkami na kształt drewnianych skrzyń, gdzie ludzie musieli spać jedni nad drugimi – a wszystko to kołysało się ciągle na wszystkie strony od samego początku. Wczołgał się do jednej z tych skrzyń i położył się tam – w odzieniu, w którym opuścił rodzinny dom przed wielu dniami

– trzymając koło siebie swoje zawiniątko i kij. Ludzie jęczeli, dzieci płakały, woda kapła, światła gasły, ściany trzeszczały, a wszystko trzęsło się tak, że w swojej małej skrzyni człowiek nie śmiał unieść głowy z posłania. Stracił z oczu jedyne go towarzysza (młodzieńca – opowiadał – z tej samej co i on doliny), a przez cały czas słyhać było na zewnątrz straszny huk wiatru i ciężkie uderzenia – bum! bum! Napadła go okropna słabość, tak ciężka, że zaniedbywał się w modlitwie. W dodatku nie można było rozpoznać, czy to jest rano, czy wieczór. Zdawało się, że w tej izbie noc trwa bez końca.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.